

Wyry, Mikołów Pułkownik Władysław Kielbasa i kapitan Jan Rybczyński – wyjątkowi dowódcy, którzy polegli na Górnym Śląsku w obronie granic Rzeczypospolitej

Szwabów się nie bójcie!

W pierwszych dniach września 1939 r., w rejonie Wyrów i Mikołowa, trwały jedne z najbardziej zaciętych walk Wojska Polskiego z niemieckim Wehrmachtem na Górnym Śląsku. W obronie polskości tego regionu II RP nikt się nie oszczędzał. Świadczą o tym relacje niemieckich najeźdźców, zaskoczonych oporem polskiego żołnierza, siłą jego ognia oraz faktem, że zginęli tu najwyżsi rangą dowódcy. Osobiście prowadzili swoich żołnierzy do boju, a ci byli gotowi oddać życie za swoich przełożonych. To opowieść o tych dowódcach – kapitanie Janie Rybczyńskim i pułkowniku Władysławie Kielbasie.

Jedne z bohaterskich walk toczyły się w Mikołowie Mokrem, na Sośniej Górze (wzgórze 341). Ten punkt oporu bronił dostępu do samego miasta. Cała tamtejsza kompania składała się z rezerwistów, ochotników i byłych powstańców z Mikołowa. Bronili oni wzgórza, choć ostrzeliwała ich artyleria wroga. Głównodowodzący Grupy Operacyjnej „Śląsk” gen. Jan Sadowski tak o nich pisał:

„Żołnierz bije się, i to bije się dobrze.

Szczególnie uderzyła mnie postawa mikołowskiej kompanii obrony narodowej, złożonej z samych Ślązaków. Gdy wieczorem rozmawiałem z płk. Kalabińskim, pytałem się o tę kompanię – napomknąłem, że może by ją zluźować. Odpowiedział mi, że właśnie sam proponował to dowódcy kompanii kpt. Wikarskiemu. Ten jednak stwierdził, że żołnierze kompanii proszą, aby ich nie luzować, że wzgórze 341 utrzymają, proszą tylko, żeby przysłać im trzy nowe ciężkie karabiny maszynowe na miejsce rozbitych przez artylerię niemiecką”.

Kolejne ciężkie walki toczyły się w lasach Wyrów, Gostyni i Żwakowa. Na tym odcinku frontu **marsz Wehrmachtu**

zostaje powstrzymany. Od granicy po raz pierwszy Niemcy natknęli się na poważne siły polskie. 2 września ostrzał rozpoczęła artyleria niemiecka. Był on w dużej mierze niecelny, ze względu na gęstą mgłę. Za to Polacy zadali duże straty niemieckiej piechocie seriami z cekaemów.

Oto relacja anonimowego żołnierza niemieckiego: „Ogień nieprzyjacielski (polski – przyp. red.) nasila się. Ze wszystkich stron słychać huk, trzask, wycie i gwizdy pocisków. Hałas jak w diabelskim kotle. Raniony zostaje gefrajter Wiegand, trafiony w podudzie. Pod osłoną ciężkiej broni nasi strzelcy rozpoczynają natarcie, lecz bez powodzenia. Nieprzyjacielskie stanowiska nie zostały jeszcze dostatecznie zniszczone, aby nacierać. Wróg siedzi zbyt pewnie i jest jeszcze groźny”.

Inny Niemiec Egon Kalbitz tak wspominał: „Dwa pierwsze dni września 1939 r. zaliczam do najcięższych w czasie całej wojny. A to za sprawą polskich obrońców, którzy zaskoczyli nas żołnierskim męstwem. Tuż przed rozpoczęciem działań oficerowie w wygłaszanych pogadankach wbijali nam do głowy przewagę naszego oręża nad polskim. Tymczasem, gdy zalegałem pole pod huraganowym ogniem nieprzyjaciela, widząc jak wokół giną moi towarzysze, zaczynałem mieć co do tego wątpliwości”.

W walkach w rejonie Wyrów zginęło ponad 100 polskich żołnierzy, tyle samo było rannych. Niemcy mieli większe straty. Zostawili na polu bitwy ponad 150 zabitych i kilkakrotnie więcej rannych.

Niemcom duże straty zadawał pociąg pancerny nr 54 „Groźny”, który poruszał się linią kolejową, na odcinku Ligota – Tychy – Kobiór. Miał gruby pancerz i przegrody betonowe. Składał się z parowozu pancernego, dwóch wagonów artyleryjskich, wagonu szturmowego i dwóch platform bojowych. Uzbrojony był m.in. w haubicę 100 mm, trzy armaty 75 mm, 18 karabinów maszynowych 7,92 mm. Posiadał też drezyny pancerne, tankietki TKS (lekkie czołgi zwiadowcze) i francuski lekki czołg Renault z czasów I wojny światowej. Amunicja, materiały wybuchowe, saperskie i minerskie ważyły ok. 20 ton. „Groźny” miał też zaplecze w postaci składu gospodarczo-sanitarnego. Załoga liczyła ok. 180 ludzi. Jej dowódcą był **kapitan Jan Rybczyński**.

O jego życiorysie w zasadzie nie wiadomo nic... poza datami jego urodzin i śmierci. Nie jest znane

żadnego jego zdjęcie. Z listy wniosków o odznaczenie orderem Virtuti Militari, który sporządził generał Jan Jagmin-Sadowski, dowódca Grupy Operacyjnej „Śląsk” wynika, że dowódca pociągu pancernego „Groźny” urodził się 28 sierpnia 1899 r. Tak więc zginął zaledwie pięć dni po 40. urodzinach.

Zarys charakteru kpt. Rybczyńskiego wyłania się ze wspomnień żołnierzy „Groźnego”. Zostały one spisane na przełomie lat 70. i 80. XX w., po kombatanckim spotkaniu w Niepołomicach, gdzie przed wojną stacjonowała ich macierzysta jednostka – 2. Dywizjon Pociągów Pancernych. Dotarłem do tych wspomnień dzięki Arkadiuszowi Domińcowi z Muzeum Śląskiego Września 1939 r. w Tychach.

Z relacji weteranów wynika, że Jan Rybczyński był dowódcą lubianym i szanowanym. Świadczy o tym fakt, że jego podwładni

nie chcieli pozostawić jego ciała na polu bitwy

(o czym później). Roztropne dowodzenie łączył z energicznością i duchem walki. M.in. sierż. Antoni Jasiówka, szef pociągu, wspominał, że kpt. Rybczyński głęboko wierzył w możliwości żołnierza i tą postawą zarażał. Po śmierci Rybczyńskiego, jego zastępca nie opuścił pociągu mimo odniesionych oparzeń po niemieckim ataku.

Zenon Kułakowski był w „Groźnym” działonowym haubicy 100 mm (największego działu pociągu). Wspominał, że 1 września 1939 r. na stacji, tuż przed Tychami, generał Jan Andrzej Jagmin-Sadowski rozmawiał z kapitanem Janem Rybczyńskim. „Wychyliłem się z wieży pancernej i słyszałem, jak na zakończenie tej rozmowy generał stwierdził: »Panie kapitanie, spieszcie się,

ratujcie tę biedną piechotę»”.

Por. Bernard Drzyzga z piechoty wspominał kpt. Rybczyńskiego: „Gdy tylko wyładowano rannych, skromny ten bohater podążył w bój, aby znów wspierać nasze oddziały i dać dowód, że mogą liczyć na jego wsparcie. I to wszystko, mimo że załoga pociągu głuchła od wystrzałów i nerwy miała w strzępkach (niemal non stop w boju przez dwa dni)”.

„Groźny” był trudno uchwytny dla niemieckiej artylerii, bo zręcznie manewrował na torze i maskował się. Kapitan dowodził świetnie, bo znał teren. Już latem 1939 r. „Groźny” jeździł na Śląsk, w tereny potencjalnych walk. Wieczorem, 1 września pociąg wycofał się do Ligoty i uzupełnił paliwo oraz amunicję. Świtem, 2 września był już z powrotem w boju i siał panikę w hitlerowskich szeregach.

Jeden z niemieckich żołnierzy z 48. pułku piechoty 8. Dywizji Pancerniej, nacierającej w pierwszych dniach września na Wiry i Mikołów, zapisał w swoim dzienniku: „(...) Ogień wzmaga się i to z gwałtownością, którą trudno sobie wyobrazić. Wydaje się, że powietrze składa się tylko z ognia i żelaza. Jak tysiąc syren gwizdzą i ryczą pociski w powietrzu, odcinając dosłownie korony drzew. Drzazgi latają koło głowy. Wgryzamy się mocno w ziemię, robimy się tacy malutcy, jak to jest tylko możliwe. Nie szukamy celu, ponieważ wobec takiego ognia jesteśmy bezsilni. I nagle rozpoznajemy sprawcę tego ataku ogniowego. To polski pociąg pancerny. Powoli toczy się ten potwór ku nam z prawej strony na lewo. Pluje na nas takim gradem pocisków, że każdemu wydaje się, iż nadeszła jego

ostatnia chwila”.

Z kolei niemiecki generał von Rothkirch z 49. pułku piechoty „Niebieskie Lwy” z Wrocławia we wspomnieniach z bitwy pod Wyrami pisał: „Nagle zameldowano zbliżanie się pociągu pancernego z lewej strony. Sapanie lokomotywy stało się słyszalne. Potwór zbliżył się do występu leśnego, rozciągającego się na bagnistym terenie na północ od drogi do Żwakowa. (...) Polacy (...) nacierali bardzo odważnie. Zostali jednak krwawo odparci. Ale i ogień dział pociągu pancernego, kierowany na krótką odległość był skuteczny, prawie demoralizujący, bo ze strony niemieckiej nie było broni do jego zwalczania. Chrzest bojowy był dla pułku bardzo bolesny”.

Por. Drzyzga wspominał, że Rybczyński z miną zwycięzcy mówił: „Dostali po skórze, gdyż nie spodziewali się takiego męstwa. Wasze wojsko szło wprost w moje salwy, aby tylko nadążyć przed uciekającymi Niemcami”.

„Prażyliśmy szwabów armatkami 75 mm, aż się kurzyło, jak uciekali” – zapisał żołnierz „Groźnego”.

Okoliczności śmierci bohaterskiego kapitana nie są dokładnie znane. Wiadomo, że zginął 2 września, ok. godz. 17.30. Zdarzało się bowiem, że Rybczyński opuszczał pociąg i dokonywał zwiadów na pierwszej linii frontu. Poruszał się TKS-em – lekkim czołgiem rozpoznawczym. Tego dnia prowadził go kapral Zonaberg. Obaj poszli do punktu obserwacyjnego piechoty. Z tego zwiadu kapitan już nie powrócił.

Kapral był tak zszokowany

śmiercią dowódcy, że nie potrafił zdać relacji, co dokładnie się stało. Dowództwo „Groźnego” objął kpt. Józef Kulesza. Rozkazał on dwóm kierowcom tankietek – kapralom: Zonabergowi i Skoczkowi wrócić na miejsce śmierci Rybczyńskiego i odnaleźć jego ciało.

Kapral Siniakiewicz, dowódca karabinów maszynowych tak zapamiętał to zdarzenie: „Po dwóch godzinach czołgi powróciły, ale bez zwłok kpt. Rybczyńskiego. Kpr. Zonaberg miał złamaną rękę, a kpr. Skoczek został ciężko ranny w głowę. Mimo poszukiwań, nie udało się odnaleźć ciała kapitana. Obaj czołgiści musieli się wycofać, bo Niemcy nacierali. Ratując rannego kpr. Skoczka, wyciągnęliśmy go z czołgu i na naszych rękach umarł. Okazało się, że został trafiony w głowę przez otwartą klapę czołgu. Pochowaliśmy go pod brzošką przy drodze obok browaru w Tychach. Czarnym dniem był dla nas 2 września 1939 r. Straciliśmy bohaterskiego dowódcę i lubianego kolegę, który był skrzypkiem i swoją muzyką rozweselał nas na froncie”.

Franciszek Wiatr, dowódca 8. kompanii 73. pułku piechoty tak relacjonował okoliczności śmierci dowódcy pociągu: „Na prawym skrzydle mego odcinka stała armatka przeciwpancerna, a za nią leżał zabity oficer w płaszczu żołnierskim w stopniu kapitana, z hełmem na głowie, który był przedziurawiony nad czołem. Twarz była zwrócona ku ziemi. Domyśliłem się, że był to dowódca pociągu pancernego kpt. Jan Rybczyński. (...) Ciało zauważyłem ok. godz. 18.00”.

Dokładne miejsce śmierci

Rybczyńskiego długo nie było znane. W 2013 r. zlokalizowali je wielbicieli historii i militariów ze Stowarzyszenia Pro Fortalicium, m.in. Arkadiusz Dominiec. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że zginął przy leśnej ścieżce, ok. 500 m za obecnym Pomnikiem Żołnierzy Września w Gostyni. – Zachował się tam wykop po stanowisku armatki przeciwpancernej. Znaleźliśmy tam m.in. skrzynkę po amunicji i łuski. To jedyne takie stanowisko w tym rejonie lasu i pasuje do relacji Franciszka Wiatra.

3 września pociąg „Groźny” dostał rozkaz wycofania się z rejonu Tychów i Wyrów. Ogólna sytuacja na froncie tego wymagała. GO „Śląsk” była zagrożona okrążeniem. 7 września pod Tarnowem załoga uszkodziła pociąg, bo nie było szans na dalszą walkę. Wcześniej wymontowano uzbrojenie. Ocalałe wagony Niemcy „wcielili” do swoich składów pancernych.

Żołnierze z „Groźnego” walczyli m.in. pod Kockiem (2-6 października 1939 r.), w ostatniej bitwie „Polskiego Września” i toczyli walkę z Niemcami na Zachodzie.

Podpułkownik Władysław Kielbasa (po śmierci awansowany do rangi pułkownika) – żołnierze go uwielbiali i szanowali. Ich dowódca lubił żartować. Potrafił założyć się z innym oficerem o to, że ktoś z jego jednostki zje całego prosiaka i wygrywał takie zakłady. Ppłk Kielbasa był też postacią charyzmatyczną. W czasie wojny polsko-bolszewickiej wiele razy osobiście prowadził żołnierzy do walki wręcz z wrogiem, pierwszy wchodził pod ogień do okopów nieprzyjaciela i wychodził z tych potyczek zwycięsko. Jego pułk znalazł się w grupie operacyjnej dowodzonej osobiście przez marszałka Józefa Piłsudskiego. Za szczególne męstwo w bitwach pod Stasiewem oraz Zarudziem odznaczono go krzyżem *Virtuti Militari* V klasy. Dlatego podwładni wierzyli, że czuwa nad nim Opatrzność Boska i w czasie walk trzymali się blisko swojego dowódcy.

2 września 1939 r. kontrnatarcie prowadzone – a jakże! – osobiście przez ppłk. Kielbasę doprowadziło do odbicia Wyrów z rąk niemieckich. Podpułkownik

ranny w głowę

zmarł w mikołowskim szpitalu.

Władysław Kielbasa był najwyższym rangą żołnierzem, który poległ na Śląsku w wojnie obronnej 1939 r. Ale od początku...

2 września na umocnionym odcinku „Mikołów” trwały zacięte walki pomiędzy atakującym niemieckim VIII Korpusem Armijnym i broniącymi się jednostkami Grupy Operacyjnej „Śląsk”,

wchodzącej w skład Armii „Kraków”. Po południu Niemcom udało się zmusić walczący pod Wyrami Batalion Obrony Narodowej „Zawiercie” do wycofania się, co stworzyło nieprzyjacielowi możliwość wdarcia się na tyły polskiej obrony. W tej sytuacji gen. Jan Sadowski, dowódca GO „Śląsk” powziął decyzję o odbiciu Wyrów. Zadanie to powierzył jednemu odwodowi, jaki jeszcze posiadał – 2. batalionowi 73. pułku piechoty z Oświęcimia. Dowodził nim ppłk. Kielbasa. Ich koszary mieściły się w budynkach, w których potem Niemcy utworzyli obóz koncentracyjny.

Ppłk. Kielbasa ze swoimi ludźmi był w Mikołowie już pod koniec sierpnia. Jego kwatera mieściła się na rynku w kamienicy, w której mieści się Stara Apteka. Kolejną kwaterą ppłk. Kielbasy był dom przy ul. Krakowskiej 48. To stamtąd, 2 września, po godz. 16.00 wyruszył w swój ostatni bój.

Polski kontratak rozpoczął się od strony Mikołowa, od zabudowań folwarku Regielowiec. Na czele szedł osobiście podpułkownik. W artykule Jarosława Ptaszkowskiego pt. „Ostatni bój pułkownika Władysława Kielbasy”, Stanisław Michalik, siostrzeniec dowódcy spod Wyrów wspominał: „Był realistą i zdawał sobie sprawę, że w pojedynkę niemal niemożliwe będzie pokonanie Hitlera”. Żołnierzy jednak mobilizował: „Chłopczy! Szwabów się nie bójcie, przegonimy ich gdzie pieprz rośnie”.

Te słowa pułkownika przytoczył podporucznik Józef Kristof, jeden z tych żołnierzy, którzy w boju pod Wyrami osłaniali swojego dowódcę. Jego relację spisał Zygmunt Orlik, historyk ziemi pszczyńskiej. Oto ona: „My, podkomendni ppłk. Kielbasy wierzyliśmy, że czuwa nad nim Opatrzność Boska. W wojsku kursowały opowieści, że w czasie I wojny światowej i wojny z sowietami (m.in. podczas odwrotu spod Kijowa – przyp. red.) co najmniej kilkanaście razy osobiście prowadził swych wojaków do bezpośredniego zwarcia z nieprzyjacielem i przeżył. W czasie boju będę więc trzymał się jego bezpośredniego sąsiedztwa, a wtedy i mnie będą mijać kule – kalkulowałem. A gdyby – co nie daj Boże – zawisło nad nim niebezpieczeństwo, pospieszę mu z pomocą, bo wart tego”.

Dalej Kristof tak relacjonuje: „W natarciu posuwaliśmy się skokami. Po przebyciu kilku metrów padaliśmy na ziemię. I wtedy z niepokojem zauważyłem, że dowódca tylko przyklekał. Dziś trudno mi powiedzieć dlaczego tak postępował. Może wierzył w swą szczęśliwą gwiazdę żołnierską, a może chciał nam pokazać, że nie taki straszny diabeł jak go malują. Wokół nas bitewny huk, rozrywają się pociski armatnie, świstają kule z niemieckich maszynek. I co z przerażeniem, dostrzegam? Pułkownik nie zrywa się z przykleku do kolejnego skoku, opada na ziemię. Czołgam się, widzę pełno krwi, brak oznak życia. Boże, nie upilnowaliśmy naszego dowódcy, do oczu napływają łzy. Towarzyszący mi kolega – w cywilu szofer z Mikołowa, nazwiska nie pomnę – równie to dostrzega. Zrywa się z płaczem i krzyczy: »Boże ja tego nie przeżyje«. I nie przeżył. Ścięty serią erkaemu padł obok swego dowódcy, którego po chwili z narażeniem życia ściągają do tyłu sanitariusze.

Według innej relacji czytamy: „Ppłk Kielbasa spokojnie palił papierosa, śledząc nacierających na tym odcinku Niemców. (...) Podpułkownik wydobyl pistolet zza pasa, rzucił niedopalonego papierosa na ziemię. Wydał rozkazy swoi oddziałom do szturm i

z okrzykiem »za mną!«

ruszył naprzód do boju, pociągając swoim przykładem innych oficerów i żołnierzy. Bez przerwy wybuchały pociski artyleryjskie i grzechotały długie serie broni maszynowej. Biegący ppłk Kielbasa nagle chwycił się odruchowo za pas i powoli osunął się na ziemię. Został ciężko rany w głowę”.

Jak mówi Arkadiusz Dominiec po zranieniu podpułkownika, jego żołnierze wpadli w bitewny szal. Kiedy on umierał na stole operacyjnym w Mikołowie, oni odbili Wyry z rąk hitlerowców.

Miejsce śmiertelnego postrzału ppłk. Kielbasy znajduje się przy skrzyżowaniu ul. Pszczyńskiej (Droga Wojewódzka nr 928) i ul. Dąbrowszczaków (prowadzącej w kierunku dawnego dworu w Wyrach i do centrum wsi).

Władysława Kielbasę pochowano na cmentarzu parafialnym św. Wojciecha w Mikołowie wraz z pięcioma innymi, nieznanymi żołnierzami. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari IV klasy i awansowany do stopnia pułkownika. Pozostawił żonę i trójkę dzieci.

Korzystałem z publikacji:

„Fortyfikacje Obszaru Warownego Śląsk. Historia, przewodnik”;

maszynopis książki „Księga wrześniowej chwały pułków śląskich” J. Przemszy-Zielińskiego i spisanych wspomnień załogi „Groźnego”;

Tychy, Wiry, Kraków Dotarliśmy do rodziny bohaterskiego dowódcy pociągu pancernego „Groźny”

Tak wyglądał kapitan Rybczyński

Dotąd niewiele było wiadomo o jego losach przed II wojną światową. Próżno też było szukać jego wizerunku. Żadnego zdjęcia nie posiadało Muzeum Śląskiego Września 1939 r. w Tychach. Nic też nie znajdowała internetowa wyszukiwarka. Tymczasem nazwisko kapitana Jana Rybczyńskiego, który zginął w Gostyni w obronie polskości Górnego Śląska, jest znane w regionie. Jest on patronem szkoły i ulicy. Ma swoją tablicę pamiątkową. Dzięki opublikowanemu niedawno w „Nowym Info” artykułowi o kapitanie, udało nam się dotrzeć do członków jego rodziny. Publikujemy też jego fotografię. A więc tak wyglądał kapitan Rybczyński!

W numerze 18 „Nowego Info” (4.09.2018 r.) opublikowałem artykuł pt. „Szwabów się nie bójcie”. Opisałem w nim postacie: pułkownika Władysława Kiełbasy i kapitana Jana Rybczyńskiego, odważnych i szanowanych dowódców, którzy we wrześniu 1939 r. polegli w rejonie Wyrów, Gostyni i Mikołowa, w obronie granic II Rzeczypospolitej przed napaścią niemiecką.

O kapitanie Janie Rybczyńskim, dowódcy pociągu pancernego „Groźny”, który siał spustoszenie w szeregach Wehrmachtu dotąd niewiele było wiadomo. Z listy wniosków o odznaczenie orderem Virtuti Militari, który sporządził generał Jan Jagmin-Sadowski, dowódca Grupy Operacyjnej „Śląsk” znamy jedynie jego datę urodzin: 28 sierpnia 1899 r. Zachowały się wprawdzie wspomnienia jego żołnierzy, spisane w latach 70. i 80 XX w. na kombatanckich spotkaniach w Niepołomicach, gdzie przed wojną stacjonował 2. Dywizjon Pociągów Pancernych, ale nie była znana jego przedwojenna biografia ani też żadne zdjęcie. Potwierdzał to Arkadiusz Dominiec, właściciel Muzeum Śląskiego Września 1939 r. w Tychach oraz współorganizator rekonstrukcji Bitwy Wyrskiej.

Tymczasem Jan Rybczyński to bohater dowodzący 180-osobową załogą w stalowym gigancie wyposażonym m.in. w haubicę 100 mm, trzy armaty 75 mm, 18 karabinów maszynowych i 20 ton amunicji. Jeden z niemieckich generałów we wspomnieniach spod Wyrów napisał, że ogień „Groźnego” był dla hitlerowców porażający i wręcz demoralizujący. Pewien żołnierz Wehrmachtu pisał w dzienniku, że gdy pociąg pancerny atakował, to wydawało się, że powietrze składa się tylko z ognia i żelaza, a nad głowami latały odcinane pociskami korony drzew.

Kapitan Rybczyński zginął 2 września 1939 r. po południu, za ledwie pięć dni po swoich 40. urodzinach. Dowódca opuścił wtedy pociąg, aby dokonać zwiadu lekkim czołgiem rozpoznawczym TKS. Zginął prawdopodobnie od kuli snajpera. O tym, jak był szanowany i lubiany przez podwładnych świadczy fakt, że nie chcieli oni zostawić jego ciała na polu walki. Narażali życie, żeby je odzyskać. Nie udało się to.

Nazwisko k pt. Jana Rybczyńskiego wyryte jest na Pomniku Pamięci Żołnierzy Września 1939 r. w Gostyni. Tablica poświęcona jego pamięci znajduje się w hali dworca PKP w Tychach, a jego imię nosi szkoła kolejowa w Tychach i jedna z ulic w Gostyni.

23 września br. obszernie fragmenty wspomnianego artykułu opublikowałem w naszym portalu noweinfo.pl. I tu swoją siłę pokazał Internet! Dwa dni później (25.09 br.) otrzymałem informację poprzez społecznościowy komunikator: „Pisał pan artykuł »Szwabów się nie bójcie«” i dalej cytował z mojego tekstu: „O jego życiorysie w zasadzie nie wiadomo nic... poza datami jego urodzin i śmierci. Nie jest znane żadne jego zdjęcie”. Potem kolejna informacja: „Od kilku lat mam kontakt z rodziną kapitana Rybczyńskiego, mam też jego zdjęcie”. W następnej wiadomości została załączona fotografia młodego oficera w mundurze z rodzicami i rodzeństwem.

Osobą, która się ze mną skontaktowała, był Krzysztof Rybczyński, tyszanin mieszkający obecnie w Gostyni. Ze względu na zbieżność nazwisk z kapitanem, usiłował on dowiedzieć się, czy nie jest z nim spokrewniony. Tak trafił w sieci na Artura Rybczyńskiego, wnuka brata kapitana. To od niego dowiedział się, że nie są spokrewnieni i od niego otrzymał unikatową fotografię.

Krzysztof Rybczyński przekazał mi telefon do Artura Rybczyńskiego. Zadzwoiłem do niego. Potem Artur Rybczyński dał mi telefon do swojego ojca – 83-letniego Zbigniewa Rybczyńskiego z

Krakowa, bratanka kapitana Rybczyńskiego. Poniżej efekty obu rozmów. Dzielę się nimi z państwem, bo dzięki tym strzępkom wspomnień i tej jednej fotografii możemy w końcu bliżej poznać bohatera śląskiego września 1939 r.

Rodzina Rybczyńskich pochodziła z kresów Rzeczypospolitej. Był to ród herbowy (Ślepowron). Posiadała majątek we wsi Rybczyńce (pomiędzy Berdyczowem a Winnicą), na terenie dzisiejszej Ukrainy. – Najstarszy zapis dotyczący Rybczyńskich na tym terenie, który udało mi się odnaleźć, pochodzi z końca XVIII wieku – mówi Artur Rybczyński. – Kiedy rodowa wieś znalazła się pod zaborem rosyjskim, a potem najprawdopodobniej również na skutek powstańczych zawieruch, w XIX w. Rybczyńscy wyemigrowali m.in. do Poznania i Krakowa. Kapitan Jan Rybczyński pochodził z krakowskiego odgałęzienia rodziny – dodaje Artur Rybczyński.

Jan Rybczyński na rodzinnej fotografii

Jak twierdzą Artur i Zbigniew Rybczyńscy, zdjęcie ich przodków zostało zrobione najprawdopodobniej niedługo przed wybuchem II wojny światowej. Rodzina Rybczyńskich zapozowała w fotograficznym atelier. Jan Rybczyński jest w mundurze, jeszcze w randze porucznika. Na pierwszym planie rodzice kapitana – Maria i Julian Rybczyńscy. Widać podobieństwo Jana do matki. Ojciec – dystyngowany, starszy pan z wąsami i bródką – był inspektorem Kolei Wiedeńskiej, za cesarza Franciszka słynącej z punktualności. Z racji wykonywanej pracy Julian Rybczyński mieszkał trzy lata w Wiedniu. Na fotografii jest jeszcze siostra kapitana – także Maria i jeden z dwóch braci – Kazimierz (tak twierdzi Artur Rybczyński) lub Władysław (jak mówi Zbigniew Rybczyński).

Długo przypatruję się fotografii... Nie pasuje mi przekazany przez rodzinę termin jej wykonania – tuż przed wojną. Kapitan wygląda na nim za młodo (w 1939 r. miał 40 lat). Poza tym krój ubrań osób pozujących do zdjęcia sugeruje wcześniejszy czas.

Postanawiam skonsultować się z Arkadiuszem Domińcem, właścicielem Muzeum Śląskiego Września 1939 r. w Tychach. Arek rozwiewa moje wątpliwości. – To zdjęcie zostało wykonane w latach dwudziestych XX w. Świadczy o tym mundur Jana Rybczyńskiego. Ma na sobie oficerską kurtkę gabardynową wzór 27 (gabardyna – tkanina wełniana o ukośnym splocie używana do szycia mundurów galowych oficerów i podoficerów zawodowych – przyp. JJ). Charakterystyczne dla tego okresu są: wysoki kołnierz oraz dolne kieszenie „miechowe” – wyjaśnia Arkadiusz Dominiec dodając, że odnalezienie zdjęcia kapitana to sensacja.

Tragedia w rodzinie kapitana

– Mój ojciec Kazimierz, brat kapitana Rybczyńskiego, opowiadał mi, że Jan bardzo mnie lubił. Miałem wtedy kilka lat. Kiedy do nas przychodził, mówił: „Kaziu daj mi Zbyszka, ja pójdę z nim na spacer” – wspomina Zbigniew Rybczyński. Mój rozmówca twierdzi, że ta bliskość z wujkiem wynikała prawdopodobnie z faktu, że kapitan z żoną długo nie mogli doczekać się własnych dzieci. Co wiadomo o najbliższej rodzinie Jana Rybczyńskiego? Ożenił się z Marią (Z. Rybczyński nie jest pewny imienia), która pochodziła z rodziny Balcerów. Familia ta była znana w Krakowie głównie z powodu piłkarza Mieczysława Balcera. W latach międzywojennych grał on w Cracovii, a potem w Wiśle, z którą zdobył dwukrotnie mistrza Polski. W latach 1924-1934 był reprezentantem kraju (10 występów, 8 goli).

Jan i Maria Rybczyńscy mieli jedno dziecko – córkę Ewę. Jak twierdzi Zbigniew Rybczyński, jeszcze przed wybuchem wojny kapitan został wdowcem. Po śmierci żony sam wychowywał córkę. – Kiedy Jan zginął w kampanii wrześniowej, Ewa przez kilka lat mieszkała z nami. Ukończyła matematykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, a po wyjściu za mąż (także za matematyką) wyprowadziła się z Krakowa do Poznania. Po mężu nazywała się Jaroszeńska – mówi Zbigniew Rybczyński.

– Syn Ewy, a wnuk kapitana Rybczyńskiego – Michał Jaroszeński – był alpinistą. Zginął podczas wspinaczki w Alpach Francuskich. Wpadł do jakiejś szczeliny. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. To była rodzinna tragedia. Zachowała się korespondencja mojej mamy z tamtego okresu. Zresztą przyjaciel Michała, z którym się wspinał, też zginął w górach – wspomina Zbigniew Rybczyński. Potwierdzenie informacji o tragicznej śmierci wnuka kapitana Rybczyńskiego znalazłem na

internetowej stronie Klubu Wysokogórskiego w Warszawie (lista zmarłych polskich wspinaczy). Datowana jest na 1980 r. Wzmiankę o śmierci Michała podał też rocznik „Wierchy”, poświęcony górcom (wydanie z 1981 r.).

Śmierć pod Monte Cassino

Kapitan Rybczyński nie był jedynym wojskowym w rodzinie, który oddał życie za wolną Polskę. – Mój wujek ze strony mamy – Józef Stojewski-Rybczyński także walczył w kampanii wrześniowej. Pochodził z okolic Stanisławowa. Kiedy dostał się do niewoli, moi rodzice pomogli mu uciec z więzienia gestapo na Montelupich w Krakowie. Przedostał się na Zachód. Walczył u gen. Andersa. Zginął pod Monte Cassino – mówi Zbigniew Rybczyński.

Józefa Stojewskiego-Rybczyńskiego odnajduję w Wikipedii. Dowiaduję się, że był równolatkiem Jana Rybczyńskiego. W 1939 r. pełnił funkcję adiutanta dowódcy 2. Dywizjonu Artylerii Konnej z Dubna. Po przedostaniu się na Zachód został oficerem Wojska Polskiego we Francji. W stopniu majora objął funkcję dowódcy 5. baterii II Dywizjonu 1. Wileńskiego Pułku Artylerii Lekkiej. Później został oficerem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Był zastępcą dowódcy 3. Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej w stopniu majora. W trakcie bitwy o Monte Cassino pełnił funkcję obserwatora artyleryjskiego oraz zastępcy dowódcy 4. batalionu Strzelców Karpackich, ppłk. Karola Fanslaua, a po jego śmierci 17 maja 1944 r. przejął dowództwo nad jednostką. Jednak tego samego dnia także on poległ w walkach podczas zdobywania wzniesienia nr 593 (Góra Ofiarna), dowodząc atakiem. Został pochowany na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino. Odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Orderu Virtuti Militari.

Grupa specjalna likwidująca Sowieców

Wyjątkową kartę w czasie okupacji i tuż po niej zapisał też brat kapitana Rybczyńskiego – Kazimierz, ojciec mojego rozmówcy Zbigniewa Rybczyńskiego. – Oficjalnie był urzędnikiem skarbowym, ściągał zaległe podatki. Nieoficjalnie należał do struktur wywiadowczych krakowskiej Armii Krajowej. Po wojnie był szefem grupy specjalnej AK, która wykonywała wyroki m.in. na funkcjonariuszach NKWD, którzy męczyli AK-owców – mówi Zbigniew Rybczyński.

– Urząd Bezpieczeństwa oferował duże pieniądze za wskazanie członków tej grupy, ale oni nigdy nie zostali wykryci. O tej przeszłości ojca nikt nie wiedział, nawet matka. Tata opowiedział mi o wszystkim dwa miesiące przed śmiercią.

– Kiedy umierał jeden z członków grupy specjalnej, to ci żyjący zostawiali na grobie charakterystyczne chorągiewki. W ten sposób – nie kontaktując się – wiedzieli, ilu ich jeszcze jest. Po pogrzebie taty, na drugi dzień, na jego mogile była tylko jedna taka flaga – dodaje Z. Rybczyński.

Na koniec naszej prawie dwugodzinnej rozmowy umawiam się z panem Zbigniewem na wspólny rekonesans po Krakowie, śladami kapitana Jana Rybczyńskiego.